

W świetle ulicznej lampy wirowały ogromne płatki śniegu. Wylaniały się nagle z niebytu, dostojnie bujały, iskrząc i stykając się czasami z innymi, aby powoli znikać w gęstniejącym mroku. Na dole czekały na nie miliony takich samych śnieżynek, zalegających na trawniku przed domem.

Było białe, cicho i sennie.

Wzrok Dorothy przylgnął się do jednej, wyjątkowo dużej, podążając za nią uparcie w kierunku ziemi. Już. Wtopiła się w białą płaszczyznę i nigdy nie zostanie personalnie zidentyfikowana. Takie życie. Śnieżynki też.

Za plecami słyszała miarowe posapywanie respiratora. Wdech – wydech, wdech – wydech. Jej mechaniczne płuca, tłoczące życiodajny tlen w wariujące komórki mózgowe. No bo jak miały nie wariować, stykając się z rzeczywistością Dorothy?

Monitor komputera jarzył się błękitną poświatą. Położyła ręce na klawiaturze. Z obrzydzeniem spoglądała na swoje palce. Powykręcane, z odznaczającymi się guzami stawów, pomarszczone i woskowe. Jak u staruszki. Przypominały zmrożone styczniową zawieruchą, gałęzie wierzby.

Czy drzewa marzną?

Kątem oka patrzyła na stojący w rogu futerał z wiolonczelą. Zakurzony, z milczącą zawartością. Kiedyś jej palce z czułością i wyczuciem przebiegały po gryfie, subtelnie uciskając struny, prowadząc smyczek po tętnicach instrumentu...

Potem przyszło mrowienie w opuszkach palców. Błędy w gamach, fałszywe tony i wściekłość na samą siebie. Uparcie powtarzane ćwiczenia i coraz gorsze wyniki. Magnez na skurcze, potem leki na hipotetyczne zapalenie stawów. Postępująca drętwota kończyn i kłopoty z oddychaniem.

Zadyszki, zawroty głowy, problemy z chodzeniem i nieokreślone bóle.

Nowe tabletki łykane garściami, rosnące kłopoty i nowe objawy.

Kołowrót medycyny, upadających marzeń i rzeczywistości.

Koniec koncertów, zachwytów nad jej talentem, planów na przyszłość i nocnych snów o pięknych strojach w Carnegie Hall i spotkań z fanami.

Wyrok /bilet pierwszy/

Jako dziecko bardzo lubiła zimę. Rówieśnicy kojarzyli ją z sankami, nartami, ciepłym domem i zmarz-

niętymi rękami.

Ona widziała i czuła więcej. Z fascynacją wpatrywała się w misterny wzór koronki na szybie. Odchuchiwała fragment i czekała, co nowego powstanie. Czy będzie pasowało do starego ornamentu?

Dlaczego uwielbiała tę porę roku? Nie wiadomo. Chrzęst zmrożonego śniegu, parkowa aleja z tymi wirującymi płatkami w mglistej aureoli światła ze stylowej latarni. Słyszana prawie realnie „Zima” Vivaldiego i dotyk ciepłego pieca w rodzinnym domu. Dający inne ciepło niż to z kaloryfera – wilgotne, otulające nozdrza i zmarznięte płatki uszu.

Taka jak teraz. Tylko już ostatnia.

Szok /bilet drugi/

Od ostatniej wizyty u lekarza działo się coś dziwnego. Niby atmosfera w domu była taka sama jak zawsze. Drobne żarciki, wzajemne uprzejmości, przekomarzania się. Omawianie planowanego wyjazdu do ciotki w Salem. Jutrzejszy obiad u babci, nowe meble do jej pokoju (Po co meble? Niedawno były zmieniane!) ale... ale coś wisiało w powietrzu.

Matka często chodziła z zaczerwienionymi oczami, a ona łapała dziwne spojrzenia ojca, kiedy myślał, że na niego nie patrzy. Jakieś ukradkowe i gorączkowe szepty w kuchni, czasami jakby łkanie z sypialni rodziców.

Weszła do ich pokoju. Na stoliku leżało kilka kartek z lekarskimi pieczętkami i jej nazwiskiem w nagłówku. Oczywiście nic nie zrozumiała z medycznych opisów badań tomograficznych, płynu mózgowo-rdzeniowego czy wzrokowych potencjałów wywołanych.

Zmiotła ją konkluzja: przewidywany czas życia.

– Mamooooooooooooooooooooo!

Gniew /bilet trzeci/

– Kurwa, dlaczego ja?! No, powiedz mamó, dlaczego?! – Dorothy biegła po pokoju, zrzucając przedmioty ze stołu, rozwalając książki i tłukąc lustro. W pomieszczeniu śmierdziało piwem i fajkami. Dziewczyna dopiero wróciła z całonocnej imprezy u nowej koleżanki, Margareth. Twarz miała zmiętą, a oczy zapuchnięte i ledwie widoczne. Wyglądała jak dziwka po całonocnym czuwaniu latarniowym. Zresztą posługiwała się podobnym językiem, więc obraz był kompleksowy.

– Co ja zrobiłam, do ciężkiej cholery? Czym zawiniłam? Jaki Bóg miłosierny i kochający wydał ten wyrok?

Matka stała w milczeniu przy drzwiach. Po policzkach płynęły łzy.

– Nie wiem, córuś.... nie wiem. Nie mów tak. Nigdy nie przeklinałaś i nie bluźniłaś.

– A jak mam, kurwa, mówić?! Zawsze byłam grzeczną dziewczynką. Nie piłam, nie paliłam, nie łądaczylam się. Koleżanki zaliczały chłopaków, z cnoty została im tylko stara blizna w cipie, a ja... powroty wczesne, wiolonczela, książki, szkoła... – Rzuciła się na łóżko i skryła twarz w poduszkę.

– Nie wiem, córuś – powtórzyła bezwiednie matka.

Nagle twarz jej stężała w brzydkim grymasie.

– Po co wyjeżdżaliśmy z kraju? No, po co? Tam jeszcze jest Bóg. Zostawiłam tam starych przyjaciół. Wegetuję w cudownym, amerykańskim śnie jako sprzątaczką, a tam byłam kimś.

Nie umiem ci tu pomóc. Nie umiem! Tu nawet umierać można na życzenie. Popieprzony kraj i życie.

Odwróciła się i wyszła.

O dwudziestej czwartej trzydzieści dwie (spojrzała na zegarek, kiedy opierała się o ścianę na zapluty, śmierdzącym zapleczu baru) straciła zalegającą niepotrzebnie cnotę. Defloracja nastąpiła z dopiero co poznanym, pryszczatym rudzielcem. Sapał strasznie i miał królicze tempo.

To i tak późno – pomyślała – Mam siedemnaście lat, a już śmierdzę trupem. Ale jeszcze żyję, skoro czuję ciepło lepkiej cieczy spływającej po udach.

Od tego momentu licznik pochwoy nabrał obrotów.

Układy, bunt /rozjazd z przesiadką/

Strasznie swędziały malutkie ranki po nakłuciach igłami akupunktury, komarów i liczne otarcia na skórze. Drapała się, jakby miała świerzb, aż współlokatorka z celi przyglądała się jej z niepokojem i wyraźnie unikała bliższego kontaktu. Durna pizda.

Przez ostatnich kilka miesięcy Dorothy odwiedziła wszystkie możliwe ośrodki. Była u najlepszych specjalistów, znanych znachorów i radiestetów. Zaklinaczy, indiańskich szamanów i tybetańskich medyków. Rodzice zapożyczyli się, sprzedali działkę i biżuterię.

Żmudna rehabilitacja i serie zastrzyków sterydowych.

I szaleństwo skurczonego do wąskich ram czasowych życia.

Czy zachwiania równowagi wynikały z nadmiaru alkoholu? Czy straszliwe dni depresji i bólu to efekt nieprzespanych i przehulanych nocy, czy postępującej choroby? Czy będzie cudem medycyny, czy kolej-

nym statystycznym przypadkiem z adresem na Municipal Cemetery?

Po co to wiedzieć?

Jutro ma rozpocząć jakąś eksperymentalną terapię komórkami macierzystymi. Nie ma już siły i ochoty.

Jednak po dzisiejszej akcji stwierdziła, że może spróbuje.

– Wyciągnij tę wariatkę. Rodzice po nią przyjechali. – Głos policjanta z posterunku w Sprafield przypominał Luisa Armstronga w szczytowej formie. Albo dużo pije, albo zmarnował w tej dziurze wokalny talent. – Niech ją zabierają. Całe hrabstwo siksa postawiła na nogi. – Co za młodzież teraz – zasapał – Własnej córce, to bym nogi z dupy...

Wyjechali paczką w Góry Kaskadowe. Rozbili obóz pod samotną skałą przypominającą siedzącego Indianina. Wysoką na jakieś czterdzieści metrów i stojącą w przepięknej dolince z szemrzącym strumieniem i strzelistymi sekwojami.

Dorothy grała na gitarze, wrzeszczeli, gin bulgotał szaleńczo jak pobliska struga, a komary w promieniu trzystu metrów zapewne latały w rytm Chaczaturiana od słodkawego dymu maryški. Impreza w całkowitej integracji z naturą. Same ekologiczne skojarzenia.

O trzeciej dziewczyna wyszła ze swojego namiotu. Przystojny John okazał się miłośnikiem stosunków analnych i miał ku realizacji swojej pasji niezmierzoną ochotę, i jeszcze większe możliwości.

Ileż można?! Dorothy w zasadzie nic nie miała przeciwko takiej ekspresji zainteresowań, ale jej potencjalne hemoroidy już się buntowały.

Kierowana niewytłumaczalnym impulsem zaczęła wspinać się po skale. Szło się ciężko, chociaż świecący ostro księżyc oznaczał cieniem wszystkie szczeliny w ścianie.

No i bolał ją tyłek.

Wyżej. Zadyszała się. Czuła pulsowanie krwi w skroniach, a pot zalewał jej oczy.

Jestem coraz słabsza. – Przemknęło jej przez głowę. – *Może czas to kończyć?*

Tak, czas kończyć. Polecieć jak ta Sowa. Cicho.

I z determinacją wspinała się wyżej. Nagle poślizgnęła się jej noga i w dół spadł grad drobnych kamieni. Odruchowo zacisnęła palce na jakimś załamku skały i spojrziała w dół.

Jezu Chryste! Zwierzęcy strach podniósł włoski na karku. Prąd przeszedł linią kręgosłupa i poczuła gwałtowne parcie na pęcherz.

Jak cholernie wysoko!

Przez zaciśniętą kurczowo krtani przebił się charkot, przeradzający się w przeciągły krzyk.

Wrzeszczała jak opętana.

– Ratunkuuuuuuuuuuuuu! Pomocyyyyyy!

Wszyscy, prawie nieprzytomni, wyskoczyli z namiotów. Rozglądali się wokół, aż dostrzegli Dorothy na ścianie.

Najpierw śmiali się, a ona wrzeszczała jak opętana.

– Pomocy, do kurwy nędzy! Zabiję się!

Co ja wrzeszczę? Przecież po to się wspinałam! – pomyślała gorączkowo.

Gwałtownie zaczęli wydzwaniać. Jakimś cudem po leśnych duktach dojechała straż z drabiną. Strażacy rozciągnęli płachtę, policja zabezpieczała teren, a karetka czekała w gotowości.

No bo jak spadnie, to nawet może się zabić!

Paranoja.

– Chciałaś się zabić? – mruknął ojciec, podpisując jakieś papiery przy biurku policjanta. Nie patrzył na nią.

– Tak.

– I co?

Odgarnęła włosy z czoła, wzięła ojca pod ramię i przytuliła policzek do jego ramienia.

– Chcę żyć. Jutro poddam się tej terapii. Kończę z balangą.

Depresja /stacja „do nikąd”/

– Co jeszcze mądrego może mi pan powiedzieć? – Dorothy poprawiła się w fotelu i spojrzała na lekarza.

Słabe światło stojącej na biurku lampki wydobywało z półmroku lekko rozmyty profil szpakowatego mężczyzny po pięćdziesiątce. Żarówka odbijała się w okularach w czarnej oprawie.

Nawet siedząc, sprawiał wrażenie przystojnego faceta z gatunku starszych, dystygowanych panów o nienagannych manierach i strojach. Takich, w których podkochują się podlotki. Sama podkochiwała się w swoim nauczycielu historii z college'u. Podobnie wyglądał.

Twarz o ostrych, regularnych rysach, z pionowymi zmarszczkami pomiędzy oczami, wysokim czołem, wąskimi ustami i prostym nosem. Teraz pocierał go wskazującym palcem, a bruzdy na czole pogłębiły się.

Z takim można iść do łóżka. Pewnie dupkę też ma seksowną – pomyślała i natychmiast skarciła się w myślach. – Co ja bredzę. Skończyłam z tym. A poza tym, już nie jestem królową wybiegu czy sceny.

Z żalem i nienawiścią spojrzała na oparte o biurko, kule. Jej kule. Ręka na oparciu fotela wyraźnie drżała.

W lustro Dorothy już dawno przestała patrzeć. Dokładnie od momentu, kiedy zobaczyła opadnięty kącik ust i oczu. Nadawały jej twarzy upiornego wyrazu maskarona. Wie, że od tego czasu jest gorzej. Widzi to w oczach ludzi.

Mówi też z coraz większym trudem, a oddech zaczyna przypominać dźwięk zużytego diesla.

– No, co pan powie? – prawie warknęła. Złość i rozgoryczenie było teraz immanentną cechą jej postawy.

Podobnie jak niechęć do życia.

Bo bardzo chciała umrzeć. Napady bólu tłumione były coraz silniejszymi lekami. Stawała się wtedy otępiała, nie kontaktowała z otoczeniem, wszystkie pasje i zainteresowania poszły w kąt.

Bez ruchu siedziała godzinami na fotelu przed komputerem albo leżała na łóżku, wpatrując się w sufit i oglądając najmniejszy skrawek ciała. Szukała oznak i czekała na nadejście nowej fali. I paralizujący strach, że jej mózg umiera szybciej niż ciało. Bo stał się tylko maszyną podtrzymującą coraz słabiej funkcjonujące podstawowe czynności życiowe, a treścią wyższych funkcji było cierpienie i rozpaczliwa potrzeba jego uniknięcia.

– Co miałbym ci powiedzieć? Mieliliśmy tyle spotkań i nie potrafiłem cię przekonać. Do dupy ze mnie psychiatra i terapeuta. Nie przychodź już więcej, Dorothy. – Mężczyzna spojrzał w światło lampki, a potem uważnie w jej oczy. – Nie przychodź – powtórzył. – Podjęłaś już decyzję.

Internetowa grupa „Razem w śmierci” tym właśnie rzeczownikiem głównie się zajmowała. Jak? Czy? Dlaczego? Czy wolno?

W chwilach wolnych od ostrych napadów dziewczyna odkryła ich świat. Ludzi chorych na nieuleczalne choroby, w różnych stadiach, wszyscy z medycznym wyrokiem. Miesiąc, parę miesięcy, trochę nędznych lat wegetacji.

Takie tam życie na krawędzi. Noża, urwiska, balkonu, grobowca.

Wymieniali się myślami, roztrząsali własne choroby, domowe warunki i wspomagali lekami. Co lekarz nie chciał przepisać, przesyłali sobie. W końcu to oni byli obiektem badań skuteczności medykamentów, a jednocześnie nie paraliżował ich lekarski strach przed zaszkodzeniem i konsekwencjami. Jakież to zresztą może mieć znaczenie dla człowieka, któremu zostało parę miesięcy!

Najważniejsze, żeby nie bolało.

Ostatnio tematem przewodnim ich rozmów stało się nowe prawo.

Stanem Oregon rządzą mądrzy ludzie. Empatyczni, nowocześni i niebojący się moralnych wyzwań. Może usłyszeli telepatycznie jej głos i uchwalili prawo do eutanazji. Może gdzieś w podświadomości odczuli jej ból. Ten fizyczny i egzystencjalny. Kiedy wali się wszystko i pozostaje tylko cierpienie. Spychane ustawicznie w głąb przez Fentanyl i Metadon i powracające jak niezmiennie przypyły oceanu.

To nowe prawo zostało obwarowane szczegółowymi przepisami mającymi zamaskować brutalną prawdę. Samobójstwo w imię humanitaryzmu. Całkowite zaprzeczenie tysiącletniego fundamentu zachodniej moralności, wiary i podstawowego instynktu. Proste – żyj, aż śmierć przyjdzie sama.

Nieważne jak. Dla niej nie jest tak proste.

Dojrzewanie do takich decyzji jest długie i bolesne. I nie tylko ból jest nośnikiem śmierci. Patrzenie na powolną degrengoladę pięknej i zdolnej dziewczyny też.

Decyzja /bilet piąty/

Drzwi skrzypnęły lekko. Dorothy spojrzała i westchnęła z rezygnacją. Do pokoju weszła jej starsza siostra, Monica.

Nie należały do własnych fan clubów. Odkąd dziewczyna pamiętała, Monica nie cierpiała jej i zawsze robiła Dorothy na złość. Odczuła ogromną ulgę, kiedy siostra przed laty wyszła za mąż i wyprowadziła się z domu.

W zasadzie nie rozmawiały ze sobą. Nie rozumiała, jak matka mogła bronić Monicy, kiedy ta robiła różne świństwa młodszej siostrze. Ach, ta ślepa, bezkrytyczna, matczyna miłość. Nawet kiedy siostra poślubiła miejscowego przywódcę sekty mormonów, Adama Wilburna, widać było, że krwawi jej głęboko katolicka dusza (przywiozła z Polski to głębokie umiłowanie wiary przodków, podobno aktywnie uczestniczyła w życiu tamtejszego kościoła), ale nie dała powiedzieć złego słowa na córkę.

A ta stała się wojowniczą neofitką, płodną jak królik (na razie piątka) i szykującą się na misję.

To niech jedzie w cholerę do jakiegoś Bantustanu!

Dorothy uważała, że Monica ma patologiczny syndrom jedynaczki i nienawidziła siostry za odebranie uwagi rodziców, za urodę i talent muzyczny. Sama niska, krępa, o umysłowości i horyzontach wsiowej baby z zapadłej farmy, nigdy nie była jej bliska.

Ba, odrażająca!

Więc co ona tu robi, do cholery?

Monica przysiadła na skraju łóżka i pogłaskała ramię Dorothy.

Ta wzdrygnęła się, jakby prześlizgnął się po niej wąż.

– Czego chcesz ode mnie, Monica? – zapytała znużonym głosem.

– Pomóc ci. Jestem twoją siostrą.

Parsknęła śmiechem.

– Może chcesz mi naszczać do łóżka i powiedzieć, jakie to zdrowe. Jak wtedy wieczorem, kiedy kaszlałam. Spałam całą noc w twoich sikach, bo wierzyłam starszej siostrze. Teraz też chcesz mnie leczyć?

Monica westchnęła, nie przerywając głaskania.

Jezu, jakie to obrzydliwe!

– Daj spokój. Mama pojechała do kościoła modlić się za twoją duszę i abyś zmieniła decyzję. Ja też po to przyszedłam. W końcu jestem żoną przywódcy prawdziwej wiary. Nie wolno nam zostawiać zbłąkanych owieczek...

– Zamknij się. – rzuciła gwałtownie Dorothy. Straciła oddech i zaczęła łapczywie wdechu łapać powietrze. Sięgnęła szybko po maseczkę tlenową i powoli się uspokajała. – Jedź nawracać Murzynów.

– Życie jest dane od Boga. Nie wolno samemu...

Dorothy gwałtownie zerwała z siebie kołdrę.

– Patrz idiotko, co mi dał Bóg. Zwiędnięte i powykręcane nogi. Zniekształconą twarz, która podobno kiedyś była ładna. Zamierający oddech... ból... – Znowu zaczęła oddychać przerywanie. – Ból... taki, że chcesz odlecieć nawet do piekła... Jestem usychającym warzywem... Po co mi dał i odbiera? Miłosierny?... Sprawiedliwy?... Kochający? Co ty, kobieto, bredzisz?

Usta Moniki zbielewały i zaczęły drżeć.

– Błuźnisz. Życie to największa wartość, jaka istnieje. Nikt nie ma prawa go odbierać. Nawet jego właściciel. Cierpienie czyni nas lepszym...

Gdyby mogła, zarwałaby się z łóżka i grzmotnęła ją w tą tępą facjatę.

– Co ty wiesz o bólu, durna suko! Co wiesz?

– Urodziłam piątkę dzieci. Cierpiałam...

– Wyplułaś jak pestki wiśni nowych wyznawców nawiedzanej sekty. Pewnie z radością spełniłaś swój obowiązek. Może orgazm miałaś przy wychodzeniu główki... – Szarpnął nią paroksyzm bezdechu. Po-siniała na twarzy i szybko pokazała Monice palcem włącznik respiratora.

– Dorothy! Ciebie diabeł opętał! – Monica kręciła się w szoku po pokoju. – Jak nic, opętał! – Usiadła. – Myślisz że jestem nawiedzoną idiotką? Ja po prostu mam jakiś system wartości. A ty straciłaś jakiegokolwiek drogowskazy i hamulce. A w obliczu śmierci tyle chociaż mieć trzeba.

Dziewczyna patrzyła na siostrę. Czasami wyłania się z niej myślący człowiek. Szkoda że tak rzadko i teraz już Dorothy to niepotrzebne.

Uspokoila się i położyła rękę na ramieniu Monicy.

– Urodzisz za nas dwie. Weź tylko moje zdjęcie i powieś sobie nad łóżkiem.

Tamta spojrzała na nią zaskoczona.

– Po co? Przecież zawsze będę cię pamiętać.

Dorothy roześmiała się chrapliwie.

– Jako naturalny środek antykoncepcyjny. Za każdym razem, jak będzie leżał na tobie ten święty rudzielec, pomyśl, że może spłodzić coś takiego jak ja.

Drzwi mało nie wyleciały z futryny.

Dzięki siostra. Utwierdziłaś mnie w decyzji.

Nie pamiętała, kto wpadł na ten dziwny pomysł. Chyba Peter, jej najbliższy przyjaciel z forum. Zdiagnozowano u niego glejaka wielopostaciowego. Wyrok – około czternaście miesięcy. Przy założeniu jakiegokolwiek skuteczności metod eksperymentalnych (immunoterapii i wirusoterapii).

A mimo napadów padaczki i strasznych bólów głowy, był pogodnym, dwudziestosześcioletnim facetem.

Przystojnym i inteligentnym. Skończył filozofię i wybierał się na ekonomię, kiedy trach...

I po ekonomii.

Po wszystkim.

Przegadali wiele nocy. Zachwycił się jej zdjęciami z dawnych lat, z upodobaniem słuchał z pendriva koncertów, w których grała i w ogóle było fajnie.

Z uporem twierdził, że nie przeszkadza mu jej obecny wygląd. Podoba mu się to, co ma w środku.

Na hasło, że przecież on właśnie jest zgniły, wybuchał śmiechem i chciał nią użyźnić glebę własnego grobu.

Strasznie głupie dowcipy umierających ludzi.

Momentami Dorothy nawet zapominała, w jakich realiach rozmawiają.

Jakby spotkało się zwyczajnie, w knajpie, dwoje młodych ludzi i poczuło tę więź. Nigdzie nie zdefiniowaną i nie do ogarnięcia.

Ale to były tylko króciutkie odpryski normalności.

Nie odwodził jej od podjętej decyzji. Powiedział, że szanuje takie wybory, ale sam nigdy się na to nie zdecyduje. Chce odejść, kiedy przyjdzie jego czas.

No, cóż – pomyślała. – To z kolei jego wybór.

I pewnej nocy rzucił:

– Dorothy, mam wspaniały pomysł! Urządzmy imprezę pożegnalną! Kto z naszych znajomych będzie mógł, to przyjedzie. Ja na pewno uproszę ojca, aby mnie podwiózł. Poznajmy się na koniec! – Zapalał się coraz bardziej. – No zgódź się, trupku kochany, noooo...

Oślupiała. Cóż za durna myśl! Chyba mu ten glejak przerzut zrobił na obszar logicznego myślenia.

Stypa z żywym trupem w roli głównej?

Ale przekonywał, namawiał, prosił, aż sama uznała, że to nie jest strasznie głupie. Ciekawie by było. Taki mroczno-śmieszny akord na zakończenie.

Zgodziła się.

Zaśmiał się jak dziecko. Od ucha, do ucha.

– Dzięki, trupku – wykrzyczał i wyłączył Skype.

To była niesamowita impreza. Czegoś podobnego nie oglądano jeszcze nigdy.

Peter powiadomił całą społeczność forum, ci lokalne media i organizacje charytatywne.

Kiedy Dorothy, nafaszerowana lekami i ubrana w swoją ukochaną sukienkę w malwy, wywieziona została do ogrodu, przeżyła szok. Tłum ludzi, kamery, radosne okrzyki.

W sumie to jakaś dziwny idiotyzm wyszedł. Bo co mogli krzyczeć i śpiewać? Sto lat? Szczęścia, zdrowia? Baloniki puszczać i czapki klaunów zakładać?

Na niektórych twarzach widać było udawane współczucie. Bo kim była dla obcych ludzi? Tylko Dorotą Rozenek, emigrantką z Polski, która niedługo umrze. Tysiące ludzi umiera każdego dnia. Chorują, giną na drodze, rozszarpywani przez bomby... z głodu.

W sumie takie wydarzenie dotyka nas, kiedy odchodzi ktoś bliski. Albo ma miejsce na naszych oczach. Jakiś wypadek, którego jesteśmy świadkami. Ale, że gdzieś tam... ktoś tam...

Niektórzy mieli łzy w oczach, choć był surowy zakaz jakiegokolwiek płaczu. Wychodzili gdzieś w głąb domu uśmiechnięci i tacy wracali, tylko oczy mieli czerwone jak u albinosów.

Wszyscy podchodzili i ściskali jej rękę w milczeniu. I jednak uśmiechali się.

Znajomi z forum stawili się licznie. Sami, z rodzinami, o kulach, na wózkach.

Rany Boskie, jedną dziewczynę przywieźli nawet ambulansem! Jakaś fundacja to załatwiła.

A telewizja wszystko kręciła. Reporterzy uwijali się wśród gości i robili wywiady.

Show must go on.

I on. Peter.

Szczęśliwy i roześmiany, był przy niej cały czas, i nie puszczał jej ręki.

Koniec / witamy na stacji „Niebo”/

Rozwidniało się. Magiczna lampa uliczna z wolna traciła swoją koronę. Padające płatki śniegu przedstawiały iskrzyć i stawały się tylko białym zjawiskiem natury płynącym ku milionom im podobnych, zalegających światów.

To dzisiaj – pomyślała dziewczyna.

Przeszła wszystkie procedury, konsylia, badania itp. Jej terapeuta, ten przystojny pięćdziesięciolatek o rozwichrzonej, siwej czuprynie i głębokim głosie, też poparł wniosek.

O jedenastej.

W sumie nic nie czuła: ani strachu, ani żalu – no, może trochę.

Peter.

Bardzo często o nim myślała od czasu tamtej imprezy. Jakoś tak dziwnie myślała. Sama nie umiała nazwać tego, co czuła.

Chciałaby jeszcze z nim się spotkać. Poczuć dotyk.

Skype i maile akurat tego nie załatwiały.

Tylko jak długo by się jeszcze spotykali? I w jakim stanie?

Przypomniała sobie opowiadanie fantastyczne, rosyjskiego pisarza Feliksa Kriwina pod tytułem

„Wynalazca wieczności”.

Grupa ludzi, skazanych na śmierć przez Niemców, czeka w zamkniętym pokoju na wykonanie wyroku. Mają dobę.

Któraś z tych osób wpada na pomysł, aby w miarę ubywającego czasu, dzielić go na coraz mniejsze części. I tak podawać innym informację. Mamy jeszcze dwadzieścia godzin życia. Mamy jeszcze trzysta minut życia. Dwadzieścia tysięcy sekund, milion milisekund...

Aż podzielono czas na takie okruchy, że wyszła nieskończoność.

Nieśmiertelni.

Relatywizm.

Paradoks Zenona z Elei.

Może i ja tak zrobię? Będziemy z Peterem nieśmiertelni.

Czy tak się da?

Jest piąta. Do jedenastej zostało sześć godzin. Trzysta sześćdziesiąt minut. Dwadzieścia jeden tysięcy sześćset sekund...

Dorothy westchnęła, aż respirator cicho zabuczał i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, spokojnie usnęła.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

puszczyk, dodano 04.09.2017 09:45

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.